

Franciszka Arnsztajnowa

Józef Czechowicz

Stare kamienie

Lublin 1934

Spis treści:

l.z. [Ludwik Zalewski]; Wstęp

Lublin z dala

Rynek

Księżyc w rynku

Grodzka ulica czytaj

Muzyka ulicy Złotej

Wiatr nocny na placu starej fary

Na Olejnej

Ulica Szeroka

Brama Krakowska

Na Korcach

Kościół Świętej Trójcy na Zamku

Pod kościołem OO. Misjonarzy na Zamojskiej

Wieniawa

Cmentarz lubelski

Tobie śpiewam, Lublinie

Wstęp

Otoczające nas piękno nie dla wszystkich jest dostrzegalne. Dlatego też „z Bożej łaski” artyści i poeci, obdarzeni subtelną wrażliwością odkrywają w ciągu wieków czar linii, kształtów, barw, tonów i słowa, ukazują je, zajęтым powszednią troską, zwykłym śmiertelnikom i wzbogacają ludzkość dziełami sztuki. Rozwój kultury, możnaby powiedzieć, nie jest niczem innym, jak spostrzeganiem coraz nowego piękna i utrwalaniem tego piękna w dziełach. Jakże późno odkryto urok gór, przeklinanych długo, jako uciążliwe przeszkody w komunikacji, jak ubogimi prymitywami są pierwsze opisy przyrody. Na piękno przyrody już dawno zwrócili uwagę malarze i graficy. W poezji „prosto i z krzykiem” przemówiły kamienie Lublina dopiero w utworach Arnsztajnowej i Czechowicza.

Franciszka Arnsztajnowa ma już swoją kartę w poezji polskiej. Idąca kiedyś w pierwszych szeregach z Młodą Polską, niezupełnie słusznie bywa zaliczana do tej grupy poetyckiej. Pokrewieństwo bowiem istniało przypadkowe, nie istotne. Pierwszymi plonami dorobku poetyckiego są zbiorki: „Poezje”, serja I i „Poezje” seria II. Poetka, zawsze wrażliwa na sprawę społeczną i narodową, w czasach przed wojną światową bezpośrednio i podczas wojny, znajdując się całą duszą w obozie strzelecko-peowiackim, piórem i czynem służyła ideałom niepodległościowym. „Archanioł jutra”, wyczerpany i „zaczytany”, świadczy o popularności utworów Arnsztajnowej z tego okresu. W ostatniej dobie poetka nastrojona elegijnie („Odloty”), pełniąc zawsze wierną służbę dla ukochanego państwa polskiego, starym kamieniom Lublina „serce swe oddała w niewolę”.

Józef Czechowicz, jeden z najwybitniejszych poetów współczesnych, jest w pełni biegu maratońskiego do mety przez siebie wytkniętej. „Kamień”, „Dzień jak co dzień”, „Ballada z tamtej strony” oto płody jego Muzy, w których – czysty, głęboki liryk lekko a kunsztownie włada słowem, rytmem i konstrukcją. Śledząc z radością i podziwem coraz górnieszy lot poety, wierzymy w jego zwycięstwo.

Franciszka Arnsztajnowa i Józef Czechowicz w zbiorce niniejszym dają wizje poetyckie pięknych zaułków Starego Lublina. Oboje znają, rozumieją i kochają każdy mur, każdy kamień rodzinnego miasta.

Lublin, 30 grudnia 1933 r. L.z.

Lublin zdala

Na wieży furgotał blaszany kogucik,
na drugiej - zegar nucił.
Mur fal i chmur popękał
w złote okienka:
gwiazdy, lampy.

Lublin nad łąką przysiadł.
Sam był
i cisza.

Dokoła
pagórków koła,
dymiąca czarnoziemiu połąć.
Mgły nad sadami czarnemi.
Z nad łąki mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.

Rynek

W świetle zielonkawem gazowej latarni
przysiadł na łapach Lew w rogu Złotej ulicy;
słucha z uwagą o czym gwarnie
rajcują sąsiadki – wiecownice:
o chwale dawnych czasów, pokoju i wojnie.
Stary Trybunał prezyduje dostojnie.
Dyskusja się rozżarła.
Sobieskich Kamienica
ręce w boki wparła,
fioki nadobne nad oczyma
okien
z irytacji sterczą,
że szyderczo
przeczy jej niewierna
Kamienica Acerna.
Pomnik Kochanowskiego, najmłodszy w tem gronie,
straż milczącą nad Rynkiem pokłóconym trzyma.
Czy wieszczem dostrzegł okiem
brzask jutra, co z przeszłości na niebo wybiega?
Czy wiatr poczuł, wiejący od wieczności brzegów?
Twarz natchnieniem płonie.

Księżyc w rynku

Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jak nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę -
jak perła
wypadnie w rynku miskę -
miska zabrząknie.

W północy,
po kątach nisz głębokich
po bram futrynach i okien
załamany,
bez mocy,
cień fijołkowy uklęknie.

Gwiazdy żółte, które lipcowy żar ściał,
leca - kurzawą - leca,
firmament w złote smugi marszcza,
za Trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem.

Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrząknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką wdół.
On się srebrliwie rozplywa
w rosie porannej, w zapachu ziół.
Jak pięknie!

Grodzka ulica

Przed Rynku kamienicą uchodząc narożną,
zrazu z palcem na ustach, stąpając ostrożnie,
sunie chyłkiem jak trusia stateczna i cicha.
I nagle, zda się, jakieś wstąpiło w nią licho,
zerwie się i zatoczy, jak chłop na jarmarku,
pijanem okiem zerknie na plac Starej Fary
i z górki na pazurki pędzi całą parą.
Kruszący się dom stary, zwalony na poły,
patrzy się z przerażeniem z pustych oczodołów,
jak po kocich łbach skacze wprost na Grodzką Bramę,
by w szalonej ucieczce na złamanie karku,
niby pociąg w tunelu, skryć się w czarnej jamie.

Muzyka ulicy Złotej

Oto wiersz:

Niebo odmienia się, choć wieczór nie ściął,
wiatr jeszcze szepce, nim uśnie.

Niebo fioletem szeleści.

Wiatr - już nie wiatr - uśmiech.

Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru;

dziewczęta chwałą Marję.

Z Archidjakońskiej do wtóru

samotnych skrzypiec arje.

Domów muzyczne milczenie,

złączone z tęczy łukiem,

na czoło kościoła promieniem

opada, jak pukiel.

A teraz ktoś ciszę napiął,

bije w nią pięścią ze spiżu.

Dzwon wieczorny,

mocą metalu kapiąc,

zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:

raz - i dwa - i trzy - - - -

Wiatr nocny na placu starej fary

O melancholjo
zamarłych ulic!
Jak widma bezpowrotnie zaginionych godzin
na starym zegarze, co już przestał chodzić,
sędziwe domy stoją,
nieczułe na blask księżyca.
Na pustym placyku
wiatr szeleści pocichł
suchem listowiem.
To znów, jak psotne chłopię,
za rogiem się skuli,
dmie śmiechem, płaczem,
i echem swarów piniaczach
z ulicy,
gdzie ongi palestranci mieli swe siedlisko –
straszy
kamienną ciszę.
Teraz trącił
srebrną strunę miesiąca:
Pieśń o ziemi naszej!
Daremnie. Kamienica,
w której stała poety kołyska,
obróciwszy na Zamek zastygłe źrenice,
nie słyszy,
nie odpowie.

Na Olejnej

Szybko mrok zapada w ciasnej ulicy,
domy szczytami schodzą się prawie.

Na wąski nieba skrawek
wychynął róg księżycy.

Ocknął się mały Lew, ślepią przetarł leniwie,
wstrząsnawszy kamienną grzywą,
z płaskorzeźbionej tablicy wytartej
schodzi na nocną wartę.

Tam i na powrót przemierza wąwóz ulicy głębokiej,
czujnie okrąża starą mennicę,
czając się za szkarpą,
śledzi, czy jaki przechera
do półgroszków skarbu
chyttrze się nie dobiera.

Cicho. Kroki.

Bijąc się po lędźwiach ogonem,
z pomrukiem wrogim
skoczył Lew z paszczą rozdziawioną.

I nagle

spojrzał w twarz pobladałą

– dziewczyny ulicznej na rogu.

Ulica Szeroka

Chorągiewka na dachu śpiewa.
Pierwszej gwiazdy wypełza pająk.
Latarnie w czarnych drzewach,
kołyszących się mrugają.

Ciepła woń płynie z piekarń,
a cisza z zamkniętych bram.
Gdyby pies na dalekim przedmieściu nie szczekał,
byłbyś – jak nigdy – sam.

Sam, może jeszcze z rzeczułką,
której nie słychać,
choć w taką jasną noc z lazuru
i ona – niebios kochanka –
od zmierzchu aż do ranka
na pewno wzdycha
wśród murów.

Brama Krakowska

NOCĄ

W starem sklepieniu Krakowskiej Bramy
wysoko
świeci lampy elektrycznej księżycowe oko.
Lęk nieprzytomny
serce szarpie.
Na Boga! nie pójdę tam sama!
Cień tu swój zostawiłam.
Wczoraj? Czy dawno? Nie pomnę.
Wśród groźnej ciszy
wypełza do mnie z za szkarpy,
rozżarzonemi patrzy oczyma
i szepce. Co mówisz? Nie słyszę.

RANKIEM

Z Bramy Krakowskiej ganku
górá, górá,
ponad grodu mury,
mosięźnie, triumfalnie wylatuje Poranek.
Mdleją struchlałe cienie.
Już skrzydła złotopole
pieszczą głowy siwe kamienic.
O słońce, słońce,
twym ustom gorącym
któż oprzeć się zdoła!

Na Korcach

Na Królewskiej ulicy,
w ciemnym podwórzu cudzej kamienicy,
stara Baszta nudzi się i gniewa.
Czcigodny szczątek fortyfikacji
dąsa się nie bez racji:
nic nie widać, front wysoki,
z prawa i z lewa
obcy mur uciska
i w boki
zuchwale bodzie.
Proszę,
jak się to panoszy
hołota bez nazwiska,
darmobyś pytał, kto ją rodzi!

Nocą, gdy cichną miejskie gwary,
preży się Baszta stara
i nadstawia ucha,
by zasięgnąć wieści
z dawnego Korców przedmieścia.
Pilnie słucha,
czy Jabłonowskich, Umienieckich,
Sapiehów pałace
u ciemnych podjazdów sąsiedzkie
wiodą pogwarki.
A gdy w przelocie na stację
samochód najnowszej marki
z rozmachem po bruku się szasta
Królewskiej ulicy,
stara, niewidząca Baszta
za murami cudzej kamienicy
wzdycha żałośnie, pokornie,
że to w ozdobnych kolasach,
zawieszonych na pasach,
w głębokie podwórce
zjeżdżają po górce
szumnie i dwornie
wielmoże,
a ona ich widzieć nie może.

Kościół Świętej Trójcy na Zamku

Jeszcze po dniu gorącym szorstki mur nie ostygł;
blanki ten blade wieczór bodą, jak osty,
a za wieżą zamkową, w kościoła oknie napłask,
błysnął wodą stojącą księżycą blask.

W ciemnym wnętrzu jest smugą białawego szkliwa.
Nie wiadomo, jak taka barwa się nazywa.
Chodzi, chodzi w ciemnościach
ruchomy światła korytarz,
jakby noc palcem srebrnym wodziła niebieska
po gotyckich łuków smukłości,
po freskach.

Dziecko tak palcem wodzi po książce, gdy czyta.

Tu skały malowane są tronem Dziewicy,
gdzieindziej zaś podwójny Chrystus ciemności
w dwa kielichy odmierza wino.

Święci z pustelni, Mario surowa,
kwiaty kapiące z wnętrza drzwi, nisz,
archaniele, pancerzem jasny - o czym w promieniu śnisz?

Jakie apokalipsy śnią się smokom, orłom?
Żadna trąba nie woła.
Księżyc palce swe cofa w mroku kościoła.
Za szybą migoce Orjon.

Pod kościołem OO. Misjonarzy na Zamojskiej

Lipy!

Pod Kościołem Przemienienia

lipy zielone!

Drzewa, któreście

łaskawym ochraniały cieniem

dziecięce moje lata,

wolne jak one,

dziś za kratą.

Szumie!

Pierwszych wynikłych na gałęziach liści

zielony szumie!

Młoda pieśni lipowa

pod kościołem starym,

cicha wiosenna mowo,

którą tłumią

ulicy zuchwałe gwary.

Wiatrem kołysane w szmaragdach korony

lipy.

Bajko szeptana wśród pojazdów wrzawy:

z za kraty,

po wzgórku murawie,

biegną ku mnie w trepkach me dziecięce lata.

Szumie, szumie zielony,

lipy!

Wieniawa

Ciemniej.

Pagóry, zagaje, podłęża
nie sypią się wiankami na oczy.

Ciemniej.

Z nieb czeluści otwartej naścieżaj
biegną ciche niedźwiedzie nocy.

Nad ulicami, rzędem,
czarne, kosmate,
będą się tarzać po domach do chwili,
gdy księżyc wybuchnie z za chmur, jak krater,
świat ku światłu przechyli.

Blachy dachów dudnią bębniem.
W dół, w górę, nierówno się kładzie
perłowy lampas:
w prostopadłej gromadzie
przedmieścia lampy.

Przeciw niedźwiedzim to mało!
Gną się, kucają domki, zajazdy, bóżnice
pod mroku cichego łapą.
Ach, trzasnęłyby niskie pułapy -
ale już zajaśniało.

Pejzaż: Wieniawa z księżycem.

Cmentarz lubelski

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: północ, północ!
Dołem
place konopne, lniane,
ulice - długie mroku czółna,
lamp łańcuchami spętane.

U krańca Lublina czworokąt czarny,
szumem poemat wiatrów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje
obsiadły wyspę umarłych.

Aleje głuche mamroczą nocą, jak rynny.
Blask błądy gwiazdy samotnej opiera się o cień,
o bluszcz, żałobny barwinek,
paprocie.

Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stały na piersiach trumien.

Pieje kogut.

Napisy z bramy cmentarza w pamięci zakarbuj, zatnij:
„Oto teraz w prochu zasnę - z prochu wstanę w dzień ostatni...”

Tobie śpiewam, Lublinie

Tobie śpiewam, Lublinie, na dwojgu wzgórz rozłożony,
wam, czcigodne kamienie, minionej świadkowie chwały,
dumnie w niebo wznoszący dostojne głowy omszałe,
choć wam niebacznie atyk i blanków zdarto koronę.

Któż nieporadnym słowem wyśpiewać piękno tve zdolne,
grodzie stary, twej duszy któż może wyraz dać godny?
Błądząc wśród siwych murów, czar nowy odkrywam codnia,
codnia na nowo serce oddaję w twoją niewolę.

W krętych ulicach szkarpy, kamienne progi wytarte,
lew na kłamce w nabitych wielkimi ćwiekami wrotach.
Ciężko ubiegłych czasów rozwiera się księga złota,
dłonią pobożną kornie odwracam zmurszałe kraty,

Sień żebrami sklepiona, patrzę z zapartym oddechem
w ciemnych podwórców w górę wysoko pnące się wnętrza,
gdzie krużganki ciosane nad krużgankami się piętrzą,
słyszę stłumione kroki, przeszłości widmowe echa.

Szczątki fortyfikacji, odwieczne baszty i bramy.
Biegną w pośpiechu domy podeprzeć Górę Zamkową,
strzelnic lukami patrzą, pacholąt królewskich głowy
w łąk wiosenną zieloność w Bystrzycy srebrzystej ramie.

Przypadł kościół-staruszek pod stopy Świętego Krzyża.
Dom posażny Barbary miłośnie oplotło wino.
Złoty w czarnym pomniku na wzgórk, wprost Kapucynów,
dłoń Jagiełło Jadwidze podaje znak przymierza.

Grunwaldzkiego kościoła fasadę zachód rumieni.
W fryzie u Misjonarzy poplątał czas medaljony,
próżno głowię się komu symbole są przeznaczone,
książąt i królów wielkie daremnie wzywając cienie.

Aż w szpitalnym podwórzu, pielgrzymkę kończąc pobożną,
czary twoje, Lublinie, na nic złoto lśniąca niżąc,
stopom Zatrokanego Chrystusa kamiennej niży
wieniec najdroższy składam w starej kapliczce przydrożnej.